

Na dworcu w Langon oczekiwał mnie doktor Dussiron: samochód, ozdobiony monogramem z dwóch F. i baronowską koroną, powiózł nas do zamku w Balizac.

II.

Doktor Dussiron, silny starzec, sceptyczny, doświadczonego lekarza, cieszył się w całej okolicy dobrze zasłużoną sławą; wszyscy go znali: spotykano go na drogach wioskowych, jak jeździł małym powozikiem, zaprzężonym w jednego konia i każdy witał z uśmiechem tę postać jowialną o żywych oczach i siwych włosach.

— Jak się masz, mój drogi — rzekł mi, ściskając silnie rękę. — Telegrafowałem do ciebie, by podać twej dyagnozie niezwykle wypadek, należący do twej specjalności.

— Cóż to takiego? Musi to być w istocie coś ciekawego, kiedy ty, co się niczemu nie dziwisz, nazywasz niezwykłym.

— A mimo to jestem tutaj, jak zagwoźdzona armata — odrzekł, siadając ze mną do samochodu. — Całą historię przedstawie ci zaraz. Wiozę cię teraz do zamku Balizac, do barona Francharda, emerytowanego prezydenta trybunału. Należy on do starego rodu i posiada dość znaczny majątek. Trzy czwarte roku przebywa w zamku razem z żoną i córką. Pani Franchard nie przedstawia nic ciekawego; bardzo dobra matka, lecz i bardzo ograniczona umysłowo, więcej ma serca, niż rozumu. Córka jest piękną i ona właśnie jest chorą osobą w zamku, do której jedziesz. Kocham to dziecko, przy urodzeniu którego byłem i boję się, by to stare bydlę Franchard, nie chciał jej zrobić jakiej przykrości. Ma ona wkrótce wyjść za mąż. Zaręczona jest z jednym sąsiadów, Delille, młodym i zamożnym, wychowaniem którego kierowali ojcowie Jezuita. Przedstawia on dla starego Francharda ideał zięcia. Ojciec Furster, stary Jezuita, wykombinował to małżeństwo. Chce Delille'a zrobić posłem, lecz jest to zły wybór. Ale ciebie te szczegóły nie interesują. Jednym słowem Łucya za ośm dni ma zostać panią Delille.

— Łucya — rzekłem — to znaczy panna Franchard, chora?

— Tak. Nie stawiała ona dotychczas żadnego oporu i zdawała się zgadzać, gdy nagle dzisiaj rano po powrocie z kościoła oznajmiła ojeu, że chce wstąpić do klasztoru. Stary Franchard osłupiał. Nigdy Łucya nie zdradzała podobnej chęci. Zaczął ją przekonywać, tłumaczyć, wreszcie odrzekł, iż nie cofnie danego słowa. Zażądał od niej wyjaśnień i wtedy zaczęła opowiadać jakieś fantastyczne historie, że przyjmuje we śnie młodego człowieka, że on istnieje i że go widziała dzisiaj na mszy: koralowy różaniec gra w tem wszystkim jakąś niezrozumiałą dla mnie rolę. Łucya utrzymuje, że ten młodzieniec jest jej narzeczoną, wybraną dla niej przez Matkę Boską, jeżeli więc jego nie poślubi, to wstąpi do klasztoru. Stary jednak odpowiedział, że rodzice najlepiej wiedzą, co potrzeba ich dzieciom i że nie wierzy, by Matce Boskiej zachciało się być swatką dla niej. Nastąpiły spazmy, atak nerwowy i posłano po mnie. Znalazłem Łucyę w delirium z gorączką czterdziestu stopni. Zatelegrafowałem zaraz do ciebie, gdyż mało się znam na nerwach, a boję się o tę małą.

Słuchałem opowiadania Dussirona z największą uwagą. Szczęśliwym trafem trzymałem w ręku oba końce tajemniczej nici, która łączyła pana Leyre z Łucyą Franchard. Nie wyznałem tego koledze, a ograniczyłem się tylko, do kilku pytań. Dowiedziałem się, że chora była zawsze bardzo wrażliwą, uczuciową, lecz nigdy nie miała ataków nerwowych.

Wkrótce dojechalismy do zamku, który poznałem zaraz z opisu pana Leyre. Pan Franchard wyszedł na nasze spotkanie. Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu, gdy go ujrzałem. „Baron“ Franchard był średniego wzrostu i dość otyły; włosy nosił krótko ostrzyżone, wąsy zgolone, z boków zaś twarzy zwisały mu się krótkie faworyty. Zaciśnięte usta, kwadratowy podbródek, zdradzały w nim upór, wzrok zaś bez wyrazu, nie okazywał

inteligencji. Przyjął mnie w sposób solenny, lecz uprzejmy.

— Witam pana, panie doktorze, pod swym dachem — rzekł mi, podając rękę. — Żałuję bardzo, że w tak smutnych okolicznościach mam zaszczyt pana poznać. Proszę wstąpić do mieszkania.

Odpowiedziałem krótko i wszedłem do hali, znanej już mi z opowiadania pana Leyre. Stąd przeszliśmy do gabinetu, gdzie po zajęciu miejsca, gospodarz domu zwrócił się do mnie.

Doktor Dussiron zapewne powiadomił pana o powodach, które nas zmusiły odwołać się do pańskiej wiedzy. Córka moja wpadła w gorączkę i delirium. Mój przyjaciel, pan Dussiron uznał, że pańska obecność jest konieczna w tym wypadku. Przepraszam bardzo za utrudzenie, na jakie pana narażam.

— Spełniam tylko swój zawodowy obowiązek — odpowiedziałem. — Proszę poinformować mnie, wśród jakich wypadków okazała się choroba pańskiej córki.

— Córka moja udała się rano razem z nami na mszę. Była w doskonałym humorze, w kwitnącym

chce, by poślubiła pana Delille, że sama jej wybrała narzeczonego. Sądziłem, że dostała pomieszania zmysłów: tłumaczyłem, że Matka Boska nie zajmuje się takimi rzeczami, lecz nakazuje dzieciom słuchać rodziców. Rozpacz córki stała się wielką...

Opowiadanie barona przerwało wejście jego małżonki, kobiety w wieku między czterdziestym piątym, a pięćdziesiątym rokiem, której regularne rysy nosiły jeszcze znamiona znikającej piękności. Po prezentacji zasiedliśmy znowu w fotelach i pan domu mówił dalej:

— Podniecenie córki wydało mi się niewytłomaczonym. Zwróciłem się do niej, by mi wytłumaczyła bliżej motywy swego postępowania i wtedy wyznała mi, że co noc widuje we śnie pewnego młodego człowieka, którego wymieniła nazwisko, że ceni go bardzo, gdyż zasługuje on na wszelkie pochwały, że z początku nie zwracała uwagi wielkiej na ten sen, nie sądziła bowiem, by ten młody człowiek istniał rzeczywiście, teraz jednak przekonała się, iż tak jest w istocie, gdyż naznaczyła mu we śnie spotkanie w kościele i widziała go dzisiaj na mszy: według niej jest w tem wola Matki Boskiej.

Odpowiedziałem, że to mógł być tylko zbieg okoliczności i że nie można kierować się w życiu snami. Może mówiłem to zbyt surowo i z wielkim niezadowoleniem, lecz córka powstała, nie mówiąc ani słowa i po postąpieniu kilku kroków padła zemdlną. Obecnie w delirium zwraca się w jakichś niezrozumiałych słowach do Matki Boskiej, wspomina o różańcu, panu Leyre i jego nocnych wizytach.

— Chodźmy zobaczyć chorą — odezwał się — gdy to długie opowiadanie zostało skończone.

Poprowadziła nas pani Franchard. Młoda panna leżała z twarzą zaczerwienioną i błyszczącymi oczyma; majaczyła. Przedstawiała objawy delirium mistycznego.

— Przebaczenia, Najświętsza Matko Boża, przebaczenia! — mówiła co chwila. Bacznie przyglądałem się chorej. W urwanych słowach przepraszała Matkę Boską za nieposłuszeństwo. Jej woli, zwracała się do pana Leyre, jakby go kochała i zmuszoną była porzucić go. Brak objawów konwulsyjnych uspokoił mnie, lecz niezupełnie.

Przy szczegółowym badaniu chorej, nie zauważyłem żadnej zmiany organicznej. Postanowiłem nie dawać żadnych środków, lecz przeczekać jeszcze dzisiejszą noc. Powodów, które mnie do tego skłoniły, nie wyjaśniłem doktorowi Dussiron. Przy konsultacji z nim wspominałem tylko o hysterii, że tego rodzaju napięcia psychiczne leczą się same przez się, że będę czuwał przez noc, lecz spodziewam się na rano polepszenia.

Zaledwie skończyliśmy swą konferencję, gdy zadzwoniono na obiad, na który został zaproszony i miejscowy proboszcz, ks. Janga. Był to wysoki, sześćdziesięcioletni mężczyzna, nadzwyczaj chudy: jego postać ascetyczna, przenikliwy wzrok, głowa prawie łysa, wskazywały na inteligencję i pracę umysłową.

Uczutem sympatię dla tego księdza. Po uściśnieniu ręki barona podszedł do mnie i zapytał prosto, czy ja jestem doktor Heurhault. Na moją odpowiedź twierdzącą wyraził radość z poznania mnie: czytał moje książki o przejawach mistycznych i chciał zacząć zaraz rozmowę na ten temat. Baron Franchard, który nie troszczył się o mistycyzm, zaczął opowiadać mi o wybitnych osobistościach swej rodziny i pokazywać ich portrety, gdy wygalonowany służący otworzył obie połowy drzwi i oznajmił uroczysto:

— Do stołu podano!

Baron prosił wybaczyć, że żona jego „baronowa Franchard“, jak ją nazywał, będzie nieobecna i poprowadził do sali jadalnej. Za nami przybył zaraz i doktor Dussiron, który zawsze się spóźnia.

— Jak się proboszcz miewa? — rzekł poufale do księdza. — A oto jest i Heurhault, z którym może się ksiądz nagadać. Heurhault czytał Ruysbroeka, Taulera, świętą Teresę, świętą Maryę d'Agreda...

— Ona nie jest kanonizowana, doktorze — odezwał się proboszcz.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Młoda panna leżała z twarzą zaczerwienioną i błyszczącymi oczyma.

stanie zdrowia. Po mszy zatrzymałem się na kilka chwil przed kościołem, rozmawiając ze znajomymi. Gdy wróciłem do żony i córki, które siedziały już w landzie, zauważyłem w córce wielką zmianę. Była milcząca i czemś przejęta, nie odzywała się wcale i dopiero po powrocie do zamku poprosiła o chwilę rozmowy.

By przedstawić panu doktorowi dokładnie całą treść rzeczy, muszę wspomnieć i o jednym postronnym fakcie. Córka moja zaręczona jest z naszym sąsiadą, panem Delille, młodym człowiekiem z doskonałej rodziny, siostrzeńcem pana hrabiego Delille, który był kanclerzem za panowania Ludwika Filipa. Stosunki dawnej przyjaźni łączą obie nasze rodziny. Córka nie stawiała żadnych zarzutów panu Delille, który zdawał się jej podobać. Zdziwiłem się też bardzo, gdy dzisiaj rzuciła mi się na szyję i prosiła o odłożenie ślubu: chciała jeszcze namyśleć się, uznawała się za zbyt młodą, niedoświadczoną, by zobowiązywać się stanowczo. Odparłem, jak to było moim obowiązkiem, że skrupuły jej są spóźnione, że nie można cofać danego słowa i że wybór, jaki już raz zrobiła, jest jak najlepszy.

Córka jednak ku coraz większemu memu zdumieniu nalegała. Zapytałem ją o pobudki tego postanowienia i dowiedziałem się, że Matka Boska nie